ROZMAITOŚCI.

Dnia 18 września, N^{er} 38. roku 1847.

DON ŻUAN MORIQUE.

POWIASTKA Z ŻYCIA AKTORSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Don Morique miał się za najszczęśliwszego z małżonków. Weronika była wyłącznym przedmiotem jego miłości, a oswoiwszy się nader prędko z życiem artystowskiém, również zwycięzko innémi sercami zawładnęła. Drobna skłonność do rozrzutności była jedynym cieniem, ćmiącym jej charakter, co Moriqu'owi niekiedy czoło chmurzyło. Lecz i tę ofiarę poniósł chętnie czuły małżonek, i wszelkiémi sposoby usiłował, aby Weronika coraz większe w sztuce swojéj postępy czyniła, ile że mu się dostrzegać zdawało, jakby zepsuta przesadnémi względami publiczności, już się u szczytu doskonałosci być mniemała. Zwykłyto błąd zarozumienia, w który najlepsze talenta wpadają i na miemości kończą. Tego się obawiał Morique.

U Hiszpanów jest przysłowie: »Chcesz kłopotów, weź sobie piękną żonę.« Aż nazbyt rychło musiał Morique doznać prawdy tych słów, gdyż zewsząd ubiegano się nieść jego pięknéj żonie hołdy i otaczać ją wonnym dymem pochlébstwa, które tém łatwiéj mogło owładnąć jéj zmysły, ile że Hiszpanki z przyrody do uniesienia i zmienności są skłonne.

Nie bez żywéj niespokojności postrzegł ostrożny małżonek, iż pewien młody urzędnik wszelkich środków i zabiegów używał, aby względy Weroniki pozyskał; czego też niechybnie dopiąć się spodziéwał, będąc bardzo bogatym, i znając potęgę złota w podobnych przypadkach.

Owe spokojne chwile, w których Morique mógł swobodnie sobie samemu i sztuce się oddawać, zaczęły stawać się coraz rzadszémi, zwłaszcza, że Weronika, uważając się za samowładną panią swéj woli; cały prawie czas na publiczne festyny i promenady trwoniła. Będąc w posiadaniu ról pierwszych i najwdzięczniejszych, wywiérała na scenie nieograniczoną władzę, a jéj tryjumfy od dnia do dnia coraz bardziéj się wzmagały.

Po jednym z takich świetnych wieczorów, ośmielił się zakochany syn Temidy nadesłać Weronice wiérsz, który jéj talent i wdzięki sławił, a przytém najgorętszą miłość autora wyznawał. Weronika pokazała śmiało ten list swemu mężowi. Nie było wprawdzie żadnego podpisu, lecz osnowa zdradziła zbyt jawnie tego natręta, który już w towarzystwie i na publicznych miejscach zazdrość Moriqu'a drażnił. Oboje małżonkowie uśmiali się z téj poetycznéj zalotności, ale podczas gdy Weronika mniemała, iż jéj wawrzynowemu wieńcowi nowy listek przyrósł, Morique postanowił wytknąć publicznie poecie śmieszność jego gachostwa.

Jednego razu, gdy młody małżonek z próby wrócił, i niespodzianie wszedł do pokoju swéj żony; chciała ona jakiś różowy papiér szybko przed nim ukryć; jednakże jedno spojrzenie z jego oczu, otworzyło jéj usta, i wyznała, iż właśnie doszedł ją wiérsz nowy, który sądząc po piśmie, od tegoż samego co piérwszy pochodzi autora. »Tylko dla oszczędzenia

ci prykréj chwili, chciałam ukryć nadsełkę. Cożem winna, iż się całemu światu podobam, i zapał poetyczny obudzam? Nie zważaj na to; wnet ten ogień przygaśnie, gdy dowiodę, że tylko ciebie jednego kocham."

To mówiąc rzuciła mu się w uniesieniu na szyję, i oddała mężowi różowy papiér, który Morique chciwie pochwycił, mówiąc: „Pozwól, niech moim będzie ten ciekawy dokument; może mi ón kiedyś na scenie jako rekwizyt posłuży. O, i my umiémy robić wiérsze! Przyjm luba ten pocałunek; miłość małżonków najwznioślejszą poezyją!"

I już ani słowem więcéj o zalotnych rymach nie wspomniano. Sród wesołych żartów minęło przedwieczerze, co nie zawsze się działo, ile że Morique wszelkiego roztargnienia zwykle unikał, jeżli wieczorem na scenę miał wystąpić.

Nie grając w sztuce dzisiejszéj, weszła Weronika przed rozpoczęciem się widowiska do loży przeznaczonéj dla aktorów.

Piérwsze spojrzenie Moriqu'a, skoro tylko na scenę wyszedł, zwróciło się ku *moxenos*, gdzie urzędnicy siadywali. Tam na samym przedzie loży dostrzegł sokoli wzrok artysty poetycznego prawnika, który z Weroniki oka nie zwracał. A że dramat dzisiejszy po raz piérwszy był przedstawianym, przeto musiał Morique ciągle swojéj roli się oddawać, i całą uwagę widowisku poświęcać.

W drugim jednakże akcie mając w towarzystwie o pewnym rajcy mówić, którego autor jako niezmordowanego szperacza w aktach opisywał; ozwał się Morique: „O, są jeszcze zakochani sędziowie, którym tyle czasu od aktów pozostaje, że nawet wiersze składają, na co mam niezbite dowody." Tu dobył ów różowy papiér z zanadrza. Ale jakież było jego zmieszanie, gdy po tych, własnym nawiasem wyrażonych słowach, wielki śmiéch rozległ się po sali. Morique mniemał, że jego przycinek tylko dotyczącą osobę zcicha ubodzie, lecz nie wiedział o tém, że Weronika w przystępie wesołego humoru wygadała się była o poetycznych afektach młodego rajcy, a tak dla większéj części publiczności, nie było w tém już tajemnicy. Zarazem jednakże mimo śmiéch powszechny, dały się słyszeć także głosy naganne, mieniące być uchybieniem, aby aktorowi wolno było mścić się ze sceny, i to jeszcze na człowieku majętnym, który głos i krzesło ma w radzie.

Nazajutrz został Morique przed sąd zapozwanym, i rozpoczęło się śledztwo, czy owe obrażające słowa znajdywały się w jego roli. A że tak nie było, przeto dano mu surowe napomnienie, aby na przyszłość wszelkiéj nawiasowéj wystrzegał się dowolności, gdyż inaczéj, według ustaw, więzieniem karany będzie.

„Więzieniem? Według ustaw? — Mnie, piérwszemu artyście grozić odjęciem wolności?" rzekł Morique z oburzeniem. „Nie ma jeszcze dotychczas w Hiszpanii ustawy, któraby w podobnym razie karę na aktora stanowiła. Wieki barbarzyńskich Rzymian, kiedy mimicy za jedno nad przepis wymówione słowo, rózgami chłostani bywali, nieodwrotnie już przeminęły. W tém wszystkiém widzę ja ukrytą rękę człowieka, który dowolnie na swą stronę wyroki głosi. Jeżli macie taką ustawę, tedy pokażcie mi takową, a ja uznam ją, i oddam jéj cześć przynależną."

To rzekłszy, odszedł hardo, bynajmniéj się nie pokłoniwszy. Sędziowie, którzy w braku podobnéj ustawy, nie mogli użyć surowości przeciw artyście, co się odważył publicznie, w trybunale, odezwać do nich w słowa, jakich żaden z nich potąd jeszcze nie słyszał; przyrzekli sobie w milczeniu, popamiętać mu to przy sposobności, zwłaszcza, że ten komedyjant, jak go szyderczo nazywali, zjednał sobie większe od nich samych znaczenie, i pobiérał płacę, równą pensyi sędziowskiéj!

Z widoczném oburzeniem, ale radośnie opowiedział Morique całe zdarzenie Weronice, dla któréj miłość jego coraz gorętszą się stawała, i w któréj posiadaniu miał się za najszczęśliwszego w całém królestwie.

Odtąd nagabała go coraz pożądliwiéj chętka wmieszania do swojéj roli słów kilka przeciw nadużyciom i śmiesznościom obecnych czasów, co publiczność, jak to zwykle bywa, z wielkiém przyjmowała upodobaniem. Wszakże i to nie lepiéj mu się powiodło; gdy bowiem jednego wieczora podczas przedstawienia „Machabeuszów" przeciw szermowaniu nieistnącémi ustawami i przeciw rządowi ucinków sobie dozwolił; krzyknęło naraz kilka głosów w parterze: »Precz z teatru!« Zarazem ozwało się przeraźliwe gwizdanie w kilku zakątach sali. Dyrekcyja kazała spuścić zasłonę, a wróciwszy za kulisy, ujrzał się Morique od straży pod areszt wziętym. Weronika na ten widok o mało nie omdlała, i byłaby zapewne bez zmysłów padła, gdyby nie jakiś nieznajomy, który ją nagle w ramiona podchwycił. Morique tém ujęty, chciał mu właśnie swoje podziękę oświadczyć, i nadal żonę swoję opiece jego poruczyć, lecz zbliżywszy się, poznał z wzdrygnieniem w nim poetę, który tego całego nieszczęścia go nabawił. W uniesieniu gniewu wydarł mu z rąk Weronikę, i zawoławszy — »Precz od niéj nędzniku!« zamierzył odtrącić go od siebie, gdy w téjże chwili straż go w zapędzie wstrzymała, i na rozkaz wyższego urzędnika, do więzienia zaprowadziła.

Wielu aktorów zdało się na pozór brać żywy udział w losie Moriqu'a, lecz rzeczywiście wszyscy radowali się skrycie, że ten, który o tyle w każdym względzie nad nimi górował, teraz upoko-

rzenia doznał; bo gdzież więcej zazdrości, nienawiści, intryg i kabał, jak przy teatrze, zwłaszcza, gdy urutynowana mierność, jenijalnemu talentowi sprostać nie może.

Przez dwa dni musiał Morique pokutować za to nadużycie swobody aktorskiéj, ile że według zdania sędziów, ekstemporyzowanie w trajedyi i w dramacie, nie jest na miejscu, i tylko w komedyi i krotochwili, pod pewnémi warunkami, dozwoloném być może. Jestto zupełnie słuszne zdanie, i powinnoby wszędzie znaleźć przyjęcie.

W obecnym razie, u Moriqu'a było to *extempore* wybuchem namiętności, która sobie ulżyć pragnęła; chciał on ukarać pojedyńczego nieprzyjaciela, lecz przypadek nadał temu odmienny obrót, i zrobił z niego samego ofiarę, nałożył mu pokutę, na którą mniéj niż inni w podobnym razie zasłużył, gdyż jeszcze nigdy nie zgrzeszył Morique przeciw sumiennemu wykonywaniu swojéj sztuki, nigdy złośliwie nikogo nie obraził. Bo prawdziwy artysta, jest oraz zacnym człowiekiem.

Jakoż uznało to wielu z publiczności; najgłębiéj jednak uznała to Weronika i Jeronimo. W ich kole zapomniał Morique o wszystkiém co się stało, a mistrzowskiém oddaniem kilku następnych ról, odniósł wkrótce dostateczny tryjumf nad nieprzyjaciołmi, gdyż każdy pochwalny głos natchnionéj publiczności, godził boleśnym ciosem w ich serce.

Tak upłynął dość długi czas w pokoju. Morique unikał wszystkiego, coby do nieporozumień najmniejszy powód dać mogło. Ale gdzież jest teatr, w którymby zgoda i jedność panowały!

Pewnego ranku, gdy posługacz teatralny spis przeznaczonych do przedstawienia sztuk przyniósł, obojętny potąd Morique przeczytawszy go, zerwał się z oburzeniem z krzesła, i zaczął szybko po komnacie chodzić; każdy rys twarzy wyrażał spłon gniewu, jaki umysł jego owładnął.

„Czy podobna!" — zawołał mnąc kartę w pięści —»czy podobna, aby licha poziomość, wierutne błazeństwo, tak bezczelnie jeszcze za dni naszych na jaw z dawnego śmiecia wychylać się śmiały?»

Weronika przybiegła żywo do niego, i zapytała: co takiego zaszło.

„Jeszcze nic nie zaszło, lecz zanosi się na rzecz szkaradną — na istne zabójstwo sceny. Patrz" — tu pokazał jéj przyniesiony repertoarz — »w dzień św. Katarzyny mamy grać sztukę, która po utworach Kalderona, Lopeza de Vega i innych, istotną hańbą teatru hiszpańskiego nazwać się może.»

Poczém przywdziawszy coprędzéj płaszcz, pochwycił za kapelusz, aby pospieszył do dyrekcyi, i odwiódł ją od przedstawiania zapowiedzianéj sztuki. Weronika zastąpiła mu drogę, prosząc go na wszystko w świecie, o umiarkowanie się w obec dyrekcyi.

„Don Żuanie" — mówiła ze łzami. „Usłuchaj głosu mojego serca i nie sprzeciwiaj się przedstawieniu. Masz dobrą rolę w sztuce, i możesz się w niéj podobać."

»A chociażbym sobie nieśmiertelną sławę w niéj miał zjednać, nie wygłoszę jednego słowa z téj roli, gdyż każdy krok w niéj na scenie, jest krokiem wstecznym dla całego umnictwa, krokiem wstecznym dla oświaty narodowéj.»

»Nie poważnij się z dyrekcyją» — powtórzyła Weronika — „może ci to wyjść na złe."

„I cóż mi się stanie? Najwięcéj, jeżli mi kontrakt wypowiedzą. Albożto sztuka nie jest jak świat wolną i széroką? Z otwartémi ramiony przyjmą mię wszystkie teatry, nie dbam więc o niełaskę. Nie mogę być obojętnym, gdy o tak świętą rzecz chodzi."

Chciał już odejść, gdy wtém Weronika za nim skoczyła, wołając: »Żuanie, lękaj się i n k w i z y c y i!»

Artysta stanął jak wryty; oczy mu dzikim ogniem spłonęły, a serce gwałtowniéj bić zaczęło. »Inkwizycyi!» powtórzył stanowczo. „Gdzie idzie o sławę sztuki, gdzie prawda i sprawiedliwość w niebezpieczeństwie, tam bojaźń znika. Jak żołnierz za ojczyznę, jak męczennik za wiarę, tak winien prawy artysta walczyć za sztukę."

To rzekłszy, wyszedł spiesznie z pokoju. Weronika odprowadziła go niéco spokojniejszém okiem, i zapadła w dumanie.

Don Żuan Morique, znany z niezwykłéj mocy charakteru, pociągnął dyrekcyję do odpowiedzialności za wyznaczenie owego lichego dramatu do przedstawiania, i oświadczył wyraźnie, iż wyprowadzenie takiéj ramoty na scenę, okryje teatr madrycki hańbą, któréj nic zetrzéć nie zdoła. W osobnéj konferencyi, odbytéj z tego powodu z członkami obudwóch teatrów, wystąpił on jeszcze raz jako obrońca dobrego smaku, i umiał słowom swoim nadać tyle wagi i tyle przekonywującéj siły, iż kilku z lepszych aktorów zdanie jego poparło.

Jakoż uwzględniła dyrekcyja tę protestacyję, i za radą Moriqu'a wyznaczyła miast zapowiedzianego widowiska, klasyczny dramat Lopeza de Vega: »*Las Casteloines et Monteses*», dramat napisany właśnie spółcześnie z Szekspira trajedyją »Romeo i Julia.»

Rozdano już rolę. Morique i Weronika otrzymali główne partyje. Spodziewano się świetnego przedstawienia. Tymczasem w przedjutrze piérwszéj proby, zażądano od Moriqu'a zwrotu roli. W uniewinnienie tego wypadku oznajmiono mu, iż jakiś gość z Sewili ma w niéj wystąpić.

Według ustaw teatralnych, nie można się było temu sprzeciwiać. Ztémwszystkiém zrozumiał Morique zbyt jasno, że w téj całéj sprawie inny wła-

ściwie plan się ukrywał, i że takowy nie tyle w samėj dyrekcyi, jak raczėj w innych wcale głowach się wylągł. „Lękaj się inkwizycyi!” przypomniał sobie z boleścią, i miał powód przekonać się poniewolnie o słuszności tych słów swėj żony. Nie bez przyczyny bowiem złożono zarząd teatru w ręce ludzi, których wola i charakter lada czém zachwiać się dały.

Wreszcie nadszedł dzień przedstawienia. Oczekiwany aktor, Alfonso Mediano, przybył istotnie, i okazywał się często we wszystkich publicznych miejscach, jakoto na spacerach, w kawiarniach i gdzie tylko osobistość jego uwagę publiczną ściągnąć mogła. Mediano był bardzo miernym aktorem, i owszem był duszą i ciałem »komedyjantem”, dufającym jedynie w swoję powierzchowność i zarozumiałą śmiałość na scenie. Zgłębić istotę swojėj sztuki, zastanowić się nad wzniosłością swojego powołania— nigdy mu ani przez myśl nie przeszło; jemu tylko wziętość jego, dla gaży była na widoku. Czas wolen od zatrudnienia spędzał zazwyczaj przy zielonym stoliku lub na przygodach romansowych.

Zjednawszy sobie w krótkim czasie mnóstwo tak zwanych dobrych przyjaciół i znawców teatru, rozgłosiwszy niestworzone rzeczy o swych mnogich tryjumfach na scenie i za sceną; wystąpił w końcu Mediano przed publicznością. Powab nowości i obcesowa śmiałość partacza, sprawiły wrażenie na mężczyznach, a imponująca osobistość kuglarza, ujęła kobiéty. Wszystkie panie widziały tylko pięknego w nim mężczyznę, a zatém rozumie się, i wszystką resztę, również piękną i niezrównaną uznały. Za daném przez dobrych przyjaciół hasłem, uderzył także ogół w oklaski, a nazajutrz uchodził Mediano za wybornego artystę, chociaż byli jeszcze ludzie, którzy bystrzej sądzili, a do tych należał Jeronimo.

Przy widzeniu się ze swoim przyjacielem Moriqu'em, postrzegł on, iż tajemny smutek serce mu ogarnął. Pochodziło to nie tyle z osobistych nieprzyjemności, połączonych z przybyciem sewilskiego gościa, ile raczėj z widoku poniżenia dramatycznéj sztuki szarlataneryją Mediana.

„Złoty wiek hiszpańskiego teatru przeminął już, nie daj Boże, na zawsze” — ozwał się Don Żuan do malarza. Od czasów nastania walki byków stępiało wszelkie uczucie piękności w artystach i w słuchaczach. Lada taureador, który swoją dzidą zręcznie wołowi pierś przebić umie, pewniejszym jest pochwał i uznania swych zasług, niż poeta, piastujący w sobie natchnienie całego narodu, niż artysta, ucieleśniający natchnienie poety!”

Te przykre uwagi zostały przerwane przykrzejszém jeszcze doniesieniem Weroniki. Położyła ona na stół afisz, zapowiadający przedstawienie téj samėj sztuki, przeciw którėj Morique tak usilną, chociaż jak się teraz okazało, bezskuteczną walkę z dyrekcyją toczył.

Na szczęście nadeszło mu wezwanie teatru sewilskiego na kilka ról gościnnych. Pospieszył korzystać z téj sposobności oddalenia się na jakiś czas z Madrytu, gdzie scenie dramatycznéj tak złowrogie chmury zagrażały. Radby był z duszy wziąć Weronikę ze sobą, lecz nieobecność obojga, byłaby przerwała tok zwyczajnych przedstawień, a tak odjechał Morique sam ze stolicy, biorąc w pożegnanie najserdeczniejsze życzenia Weroniki.

* * *

Tymczasem głośny awanturnik a bardzo mierny artysta Mediano wzrastał w coraz większe względy u publiczności. Najszczególniéj w towarzystwach płci pięknéj miał on nader gorliwe chwalczynie i protektorki. Nawet sama Weronika zdawała się z żywą przyjemnością patrzyć na tego człowieka, który tak pochlebnie w serca niewieście wkradać się umiał.

Gdy więc po kilku tygodniach sławą okryty Morique z Sewili powrócił, mówiono powszechnie o przyjaźni jego żony z Medianem, i mała tylko liczba towarzystw, w które Morique uczęszczał, sprawiła to, że go zaraz przy wstępie do stolicy, nieprzyjemne o tém głosy nie powitały.

Wszakże radosne obaczenie się obojga małżonków po czterotygodniowém rozstaniu, nie było żadną chmurką przyćmione. Dopiéro po kilku dniach, przechodząc koło sklepu rozmaitych tandeciarskich towarów, jakoto: ksiąg, posągów, i różnych prawdziwych i udanych przyborów toaletowych; postrzegł Morique staroświecki łańcnch, przypadający bardzo do stroju, który niezadługo w pewnéj roli miał przywdziać. Chcąc go więc kupić, wstąpił do sklepu, gdzie mu tandeciarz po dobitym o łańcuch targu, inne jeszcze, prawdziwe kosztowności, do kupienia podsunął. Pomiędzy témi ujrzał Morique z zadziwieniem pierścionek o trzech brylantach.

»Zkąd ten pierścionek?” zapytał szybko kramarza.

»Kupiłem go uczciwie od jednego pana, ktory go wygrał w karty od senora Mediano.”

Morique przypatrzył się jeszcze raz pierścionkowi; byłato własność jego żony, darowana jéj niegdyś przez samegoż Żuana, a teraz w ręku kramarza. Pierścionek Weroniki, przegrany przez Mediana, którego on niecierpiał, nienawidził! Niespokojny, oburzony, wyszedł Morique ze sklepu, nie zważając na ciągłe upewnianie tandeciarza, iż ten towar godziwym nabył sposobem.

„Weronika! gdzie twój pierścionek brylantowy?” zawołał Don Żuan na żonę, wróciwszy do domu.

»Pierścionek — brylantowy? —» odrzekła taż z zająknieniem, podczas gdy żywy rumieniec lica jéj oblókł — »zgubiłam go — na scenie, dniem przed twoim powrotem z Sewili.»

„I nie znaleziono go?”

»Niestety. Szukałam go przez kilka godzin; kazałam szukać; wszystko na próżno. Lecz wzbroniłam mówić o tém, aby nikt nie wpadł na podejrzenie; iż ktoś 'z aktorów znalazł go i zatrzymał.”

»A więc Mediano tym łotrem!»

»Medi —» Przestrach nie dozwolił jéj domówić.

„Oszuści, złodzieje pomiędzy artystami! Na Boga, tak nie zostanie, to musi zaraz wyjść na jaw!”

„Morique!”

»Niech się tłumaczy, niech wyzna, aby koledzy jego wiedzieli, z jakim człowiekiem obcują!”

»Morique!” zawołała żona bez duszy — »Zważ, co czynisz. Szanuj nieprzyjaciela, artystę. Cień na niego rzucony, spada na cały stan nasz. Nie gub go jednem słowem, gdyż odebrawszy mu dobre imię, odbierzesz mu teraźniejszość i przyszłość. Pierścionek ten był mi drogim, otrzymałam go z twojéj ręki. Nie wyjawiaj tego, bo wszyscy będą myśleli, iż chcesz się pastwić jego hańbą, co z twoją własną sławą, twojém sercem Morique, niezgodne. Nie, nie uczynisz tego; prawda? przyrzecz mi, że nie będziesz nastawał?”

Ktożby mógł był oprzéć się takiéj prośbie? Morique uznał, że chciał postąpić nieszlachetnie, domagając się oddalenia Mediana od teatru. Prawie zawstydzony spaniałomyślnością swojéj żony, odwrócił się na stronę, i poskromił gniew, którym się tak namiętnie był uniósł. Nakoniec przyrzekł Weronice nie wspomnieć ani słowem o pierścionku.

Po południu poszedł Morique na piérwszy odczyt nowéj sztuki, odbywający się zwykle w salonie teatralnym. Byłto znowu jeden z owych modnych utworów, w którym bezwstydność z odsłonioném występuje obliczem, a który bynajmniéj repertoarzu nie wzbogacał. Posępnie, ale przecież z uwagą odczytywał Morique swą rolę. Po skończeniu ostatniego aktu, zamykającego się hiszpańskiém przysłowiem w roli Moriqu'a:

„Wierzyć kobiécie — jestto siać na skale,
Wiatr dłonią chwytać, morskie orać fale;”

przystąpił jeden z artystów do Żuana, i rzekł: „Podkreśl sobie te słowa, gdyż powinieneś je mojém zdaniem, miéć na uwadze.” Poczém śmiejąc się i szepcząc między sobą, odbiegli wszyscy spieszniéj, nim jeszcze Morique bliższego zażądać mógł wyjaśnienia.

Własna jego szlachetność, dotąd w każdéj prawie walce ze światem zwycięzka, nakazywała mu zawsze pogardzać tymi, którzy w jakimkolwiek względzie ziarno niezgody rozsiewali. Ztémwszystkiém nie mógł sobie owego złowrogiego wierszu wybić z pamięci, a ile razy był nawet tego blizkim, znów go złośliwa uwaga kolegi, w myśli mu odświeżała. Wyszedł niespokojny na ulicę; żądło zazdrości zaczęło krwawić mu serce; wszak on był Hiszpanem. Słońce doskwiérało nieznośnie; chciał się przejść w cienistych alejach Prado, mniemając spotkać tam swego przyjaciela Jeronimo. Ale oddawna już nie zdarzyło się im zejść się z sobą. Węzeł miłości rozerwał węzły przyjaźni. Niezadowolony więc wrócił Morique do domu, a przypomniawszy sobie raz przyjaciela, chciał go zaprosić na dzisiejszy wieczór do siebie. Weronika jednak oparła się temu usilnie, może dla tego, że znała Jeronima jako człowieka przenikliwego i powiernika swojego męża. To Moriqu'a jeszcze bardziéj ubodło, tak dalece, że bez żadnéj właściwie powiadoméj sobie przyczyny, chwili już spokoju odtąd nie miał.

Niebawem nadeszła piérwsza i druga próba odczytanéj sztuki. Morique, który zwykle wszelkich bliższych styczności z swoimi kolegami, niegodnymi nazwy artystów, unikał; musiał teraz częściéj z nimi się schodzić. Przy ostatniéj próbie zdziwiło go nieprzyjemnie, że niektórzy od samego początku jakieś tajemnicze poszeptywali sobie uwagi, którym powszechnie głośne śmiechy towarzyszyły. Aż nazbyt rychło okazało się, że te żarty Moriqu'a na celu miały, gdyż każde słowo jego roli o wierności kobiét i szczęściu domowém, było szyderczo tłumaczone i objaśniane.

Morique poskramiał się ile możności, lubo najgwałtowniejszy gniew nim miotał. Zresztą zdawało się całe nieprzyjazne towarzystwo czekać dopiéro końca sztuki, aby przy wiadomym dwuwiérszu ostateczny sobie tryjumf sprawić. Jakoż w istocie, zaledwie owe słowa Moriqu'owi z ust wyszły, zagrzmiała cała sala powszechnym śmiechem. Już teraz nie mógł się Morique dłużéj powściągnąć. Jak rozjuszony zwiérz rzucił się na aktora, przewodniczącego czynionéj sobie zeń krotochwili, i zażądał zadosyćuczynienia! Z krzykiem ujęła się reszta aktorów za swoim nikczemnym hersztem, przyczém cały spólnie przeciw Moriqu'owi uknuty spisek, widocznie na jaw wyszedł.

Morique oświadczył publicznie, iż dzisiejszego wieczora na scenę nie wystąpi, i oburzony jak nigdy, oddalił się z teatru. Pozostali wyrzekli jednogłośnie wyrok najdotkliwszego upokorzenia przeciw niemu, i wymogli na dyrekcyi, że ta najsurowiéj z nim postąpić przyrzekła.

Morique zaś spieszył czémprędzéj go domu. Przybywszy na miejsce, pobiegł najprzód do pokoju swéj żony. Weronika, zajęta czytaniem listu, skryła go natychmiast przed mężem. Morique nic nie powiedział, lecz przeszywającym wzrokiem domagał się odpowiedzi i usprawiedliwienia.

Jakże się jednak zdziwił, gdy jego kochana, potulna Weronika odparła: że nie uznaje rzeczą potrzebną zdawać mu sprawę ze swoich czynności. Co więcej, wystąpiła z pewną hardością naprzeciw niemu, z tą sztuczną teatralną dumą, właściwą wielu artystkom, z którą one, w uczuciu swojéj władzy, mężów poskromić pragną, jakoby mówić chciały: „Jam więcej, niż każda zwyczajna żona, zawisająca od męża; nie potrzebuję ciebie, jestem samowładną, i, jako artystka, znaczę więcej od ciebie."

»Jako! więc i ona także w przymierzu z nimi!" rzekł sam do siebie Morique, słysząc tak śmiałe słowa. Ale wtém ozwał się w nim głos wewnętrzny: »Nie, nie; to nie może być nic złego; gdyż inaczéj nie miałaby tyle śmiałości, nie stawiłaby mi się tak hardo." — Zaczém wyszedł prawie zawstydzony, gotów przeprosić Weronikę za swoje ubliżającą jéj podejrzliwość.

Za drzwiami spotkał się Morique z policyją teatralną, która mu w imieniu dyrekcyi oznajmiła, iż jeżli dzisiejszego wieczora na scenę wystąpić nie zechce, tedy o szóstéj godzinie pod strażą do teatru del Principe zaprowadzonym zostanie.

Gniew i oburzenie Moriqu'a doszły teraz do najwyższego stopnia. Mimowolnie targnął ręką ku szpadzie urzędnika, który ten rozkaz mu przyniósł. Widział jak nieprzyjaciele jego już tryjumfowali i tysiącznémi sposoby przed publicznością go czernili.

W istocie roznieśli przeciwnicy Żuana po całém mieście wiadomość o wszystkiém, co się stało, mianowicie zaś o wzbranianiu się Moriqu'a wystąpienia dziś na scenę, i o surowych przeciwko temu środkach dyrekcyi, z czego wieczorem osobliwsze zajścia w teatrze wyniknąć miały.

Nowa sztuka, jakoteż oczekiwane sceny między dyrekcyją a Żuanem, zwabiły nader liczną publiczność do teatru. Wszystkie pobliższe kawiarnie były już na kilka godzin przed rozpoczęciem sztuki tłumnie widzami napełnione. Zewsząd cisnęli się miłośnicy Talii i Melpomeny do teatru. Morique widząc, iż tu wszelki opór niepodobieństwem, a nadto zawsze o najposłuszniejsze pełnienie ustaw teatralnych pieczołowity; uległ konieczności, i udał się hardym krokiem do teatru del Principe. Rozsianéj pogłosce o swojém wzbranianiu się grania, chciał Morique tém fałsz zadać, iż postanowił grać z humorem i fantazyją, jakiéj może jeszcze nie miał, odkąd na deskach postał.

Sztuka zaczęła się, a uwaga całéj publiczności zwróciła się od razu na Moriqu'a. Wyszedł, i już w pierwszéj scenie wytrysnęły kaskady najśmielszego dowcipu, które całą rzeszę ciekawych zachwyciły. Sceny, o których drastyczności sam autor najmniejszego nie miał pomysłu; podniesione grą jenijalną, sprawiły nadzwyczajny efekt. Garstka nieprzyjaciół Moriqu'a za kulisami, zgrzytała zębami z gniewu, iż jéj plan się nie powiódł. Każde wystąpienie Moriqu'a wywoływało niesłychaną radość w publiczności, a tak udało mu się publiczność przekonać, iż ją poważa i ceni.

Pewność odniesionego nad nieprzyjaciołmi zwycięztwa, nadawała mu coraz więcej odwagi. Już się ostatni akt zaczął, i jeszcze tylko kilka stopni pozostało do osiągnienia téj wysokości, z której Morique jako tryjumfator na swoich karłowatych przeciwników mógł patrzéć. W tém uderzyło go, iż nie postrzegł swojéj żony, swojéj Weroniki w zwyczajnéj loży. Pobiegł za przeciwległą kulisę, zpoza któréj można było całą lożę przeglądnąć; ale spojrzenia jego napróżno żony szukały. Wrócił więc na salę, przytykającą do sceny, aby tam hasła do dalszego wystąpienia oczekiwać.

Lecz przekonanie, że Weroniki w teatrze nié ma, odjęło mu wszelką spokojność. Jak odurzony przechadzał się tam i sam po salonie. Miałażby ona z obawy spodziewanych zamieszek pozostać w domu? Miałażby ją podejrzliwość jego obrazić? Rozmaite myśli tego rodzaju krzyżowały mu się po głowie, gdy wszedł posługacz teatralny i jakiś list mu doręczył. Morique pochwycił go skwapliwie, było to pismo Weroniki. Czémprędzéj rozpieczętował je, i czytał, czytał od wiersza do wiersza z coraz bardziéj natężoną uwagą; oczy pałały mu ogniem, ręka drżała konwulsyjnie. Nie zważając na otaczające go grono, krzyknął wreszcie rozdzierającym głosem: „Oszukany! Zdradzony!" i padł na krzesło. List wymknął mu się z ręki, a w liście donosiła Weronika pokrótce, iż w tej chwili już z Madrytu wyjechała, przeco wszelkie węzły pomiędzy nią a mężem, rozerwane zostały. Niby spółczuciem wiedzeni, nadbiegli obecni w sali artyści ku Moriqu'owi, a gdy jeden z nich list leżący na ziemi chciał podnieść, zerwał się Morique z wściekłością, i wydarł mu to pismo, które tak go złamało, które na zawsze go zniszczyło i prawie śmiertelny cios mu zadało. Spieniony bólem, zgniótł je w pięści, i chciał je spalić, gdy wtém przy blasku świécy postrzegł jeszcze na odwrotnéj stronie kartki kilka wierszy, znajomą sobie ręką — ręką Mediana pisane. I bladémi, drżącémi usty wyczytał te słowa: „S a r a c e n a. D r a m a t p r z e z A l f o n s a Z a m o r a. Akt 4. Scena I."

Jak obłąkany rzucił się Morique ku drzwiom, niby ścigając kogoś uciekającego. Potém w pół drogi uchwycił się z rozpaczą filaru, dźwigającego strop sali, jak gdyby ten miał go wesprzéć, gdyż własna jego siła już tego nie zdołała. Znał on ten 4ty akt, tę scenę, rozpoczynającą się wierszami:

»Moją dziś ta kobiéta, którą ty wybrałeś,
Mojém dziś jest to serce, o którém tyś roił,
Żeś je sobie na wieczność dziedzictwem przyswoił."

Okropna prawda! Ten, którego on z głębi swéj duszy nienawidził, był zwodzicielem jego żony, a on tego nie przeczuł! Wiarołomstwo za najświętszą miłość! Przysięga, którą mu w owéj »Najszczęśliwszéj chwili« życia złożyła, najsromotniéj zgwałcona! Ów pierścionek — ów list — teraz dopiero zabłysło mu światło w téj nocy, dozwalające mu uznać, że oddawna był zwodzonym, oszukiwanym.

Nieprzytomny, szalony, biegał po sali, nic nie widząc, nic nie słysząc, gdyż okropna ta wiadomość odjęła mu wszelką władzę duszy i ciała. Bijąc się pięścią w czoło, rozczochrał sobie trefione włosy; po narużowanych licach ciekł mu pot kroplami; strój jego był w ostatnim nieładzie, serce jego rozdarte.

Śród téj wewnętrznéj burzy, śród téj śmiertelnéj walki z losem, kiedy każdy nerw wrzał rozruchem, kiedy umysł jego nie był panem najmdlejszéj myśli, w tym chaotycznym zamęcie, rozwarły się nagle podwoje sali, a inspicyjent teatralny, wetknąwszy głowę przeze drzwi, krzyknął pospiesznie:

»Senor Morique, na scenę!«

(Dokończenie nastąpi.)

Mędrzec.

Mędrzec przy świécy w myśl się zaciekł skrycie:
»Co dusza — co ciało — zkąd się bierze życie?...«
A gdy go zdziwia jedność i różnica,
Śród tych rozmysłów spaliła się świéca;
Dopiero w ciemni pojąć mu się zdało:
»Że dusza ogień, a knot z łojem, ciało.«

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 37my i zawiéra: 1) Zadanie do nagrody. 2) Hieronima Kunaszewskiego, uprawa bulby. 3) Rzecz o lasach dla właścicieli lasów i urzędników ich. 4) Przegląd książki: Rozprawy c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego. 5) Jak odmładzać mające się ku schyłkowi szparagi. 6) Wiadomości handlowe i przemysłowe, 6) Uwiadomienie potoczne.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 19ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Nowsze powieści polskie. 2) Pierwsze przedstawienie Hamleta. Poemat dramatyczny w czterech częściach, 3) Księżniczka Mery. Wyjątek z dziennika oficera rosyjskiego w garnizonie na Kaukazie. (Ciąg dalszy).

Samuel Bogumił Linde, o którego niedawnéj śmierci pokrótce nadmieniliśmy, urodził się r. 1771 w Toruniu, rodzinném miejscu Kopernika. Pierwsze nauki pobiérał w szkole toruńskiéj, dalsze w uniwersytecie lipskim, gdzie w 21 r. życia, otrzymał stopień doktora filozofii. Zostawszy lektorem języka polskiego przy uniwersytecie lipskim rozpoczął prace naukowe nad językiem polskim. Znajomość z hrabią Ossolińskim i możność czerpania wiadomości tyczących się języka w bogatéj jego biblijotece; skłoniły Lindego udać się do Wiédnia, gdzie w księgozbiorze tego znakomitego męża pracował lat 10, zgromadzając materyjały do zamierzonego słownika języka polskiego. Wezwany z Wiédnia w r. 1803 do urządzenia i stérn liceum warszawskiego, wstąpił w służbę publiczną. Bywszy z kolei członkiem eforatu, izby edukacyjnéj, dyrekcyi wychowania; został w epoce księztwa warszawskiego mianowany prezesem towarzystwa do ksiąg elementarnych, członkiem rady szkoły prawniczéj, lekarskiéj, prezesem konsystorza ewangielicko-augsburskiego. W tychto czasach ogłosił był Linde prospekt i próby »Słownika języka polskiego« z dyjalektami słowiańskiémi, po większéj części w Wiédniu przez siebie wypracowanego. Prospekt ten został przedłożony cesarzom Rosyjskiemu i Austryjackiemu, którzy go zachętą i wsparciem swém zaszczycili. Tem i gorliwą pomocą najznakomitszych domów w Polsce, ujrzał się Linde w możności zapuścić się w ogromne na owe czasy przedsięwzięcie drukowania swego słownika, wymagające przeszło 30.000 talarów nakładu. Wszakże ukończenie tego dzieła kosztowało daleko więcéj, gdyż potrzeba było wszystko, to jest: ludzi, czcionki i papier z zagranicy śród powszechnéj wojny sprowadzać. Tom I Słownika wyszedł w r. 1807, a pomimo nadzwyczajnych przeszkód, tak szczęśliwym był wydawca, że w r. 1810 mógł 3 tomy złożyć królowi Saskiemu, książęciu warszawskiemu, i otrzymał od niego medal złoty z napisem *Virtuti et ingenio*; zaś od królów Pruskiego i Bawarskiego własnoręczne listy z podziękowaniem za ofiarowane im dzieło. Za ukończony już Słownik, został autor od cesarza Aleksandra, króla Polskiego, ozdobiony orderem św. Stanisława, a namiestnik królewski, książę Zajączek, wręczył Lindemu osobiście medal złoty, na cześć jego wybity, z napisem: »Za słownik polskiego języka, ziomkowie 1816 roku« — W dziesięć lat późniéj wyszło ważne jego dzieło »O statucie Litewskim», któremu mnóstwo innych pomniejszych prac towarzyszyło. Od r. 1831 był Linde zastępcą dyrektora jeneralnego wychowania publicznego, członkiem komitetu rozważającego projekt organizacyi nowego systemu wychowania, i miał udział we wszystkich komitetach edukacyjnych. Nareszcie otrzymawszy na własną prośbę uwolnienie od służby z emeryturą, poświęcał się Linde w ciągu ostatnich lat 12 wyłącznie zbieraniu materyjałów i przygotowaniu ich do porównawczego słownika wszystkich dyjalektów słowiańskich. Nagromadzone przez niego materyjały i w części wygotowane prace, są bardzo znaczne i nieocenionéj ważności dla filologii słowiańskiéj. Tyloliczne niezmordowane prace literackie Lindego, rozgłosiły imię jego w świecie naukowym. Najznakomitsze towarzystwa uczone jakoto: w Petersburgu, w Wilnie, w Warszawie, w Krakowie, w Berlinie, w Królewcu, w Pradze, w Szczecinie, w Getyndze, w Kopenhadze, nakoniec Instytut francuzki w Paryżu, przyjęły go do grona swego.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* za miesiąc wrzesień zawiéra: 1) Grzegorz VII podług monografii prof. Fogta, przez Mich. Gliszczyńskiego. 2) Palec boży. Z familijnego podania powieść przez A. A. Kosińskiego; c. d. 3) Rys historyczno-krytyczny piśmiennictwa heraldycznego polskiege, przez N. J. Malinowskiego. 4) O przesileniu handlowém i finansowém w roku 1847. Tł. K. L. Wolicki — dokończenie. 5) O chorobie kartofli obecnie w kraju naszym objawionéj, przez H. Rothe. 7) Kilka słów o chorobie kartofli w r. b. u nas się okazującéj. 7) Kołacz, legenda przez J. Kaszubskiego. 8) Kronika literacka. 9) Rozmaitości. 10) Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych. 11) Kronika biblijograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meterologiczne.

Liczba katolików na całéj kuli ziemskiéj. Według obliczenia Propagandy w Rzymie, jest w Europie 125 milijonów katolików, 108 arcybiskupów 409 biskupów— w Azyi 1,200.000 katolików, 25 arcybiskupów i 24 biskupów — w Afryce 800.000 katolików, 12 arcybiskupów i 9 biskupów — w Ameryce 26 milijonów katolików, 12 arcybiskupów i 67 biskupów — w Oceanii 300.000 katolików, 2 arcybiskupów i 5 biskupów. Do tego należy doliczyć jeszcze owych katolików, którzy pod apostolskiémi wikaryjatami i prefekturami zostają, a tych jest w Europie 3 1/2 milijona, w Azyi 240.000, w Ameryce 1 1/2 milijona, w Oceanii 60.000. Tak liczba wszystkich katolików w Europie czyni 128 1/2 milijona, na całéj zaś kuli ziemskiéj około 159 milijonów.

Liszt w Odesie. Jak wiadomo, udał się Liszt ze Lwowa do Konstantynopola, zkąd teraz na Odesę w głąb Europy powraca. Pomyślne powodzenie, które mu po całym świecie towarzyszy, nie opuściło go w Odesie. Sprawił on tam niesłychane wrażenie, i zewsząd też hołdy mu oddają. Po piérwszym koncercercie wyprawiła mu orkiestra teatralna serenadę pod oknyma mieszkania; »hôtel Richelieu« był rzęsiście oświetlony, a cały piękny świat Odesy zgromadził się w pobliżu. List zeszedł w towarzystwie dwóch dam dwukrotnie na dół, aby wdzięczność wynurzyć. Po drugim koncercie dał on świetną wieczerzę, przy któréj i austryjacki konsul jeneralny był obecnym. Następnego dnia odpowiedziano mu sutą ucztą, która do 3000 rubli kosztować miała, a w ciągu któréj niezliczone mnóstwo wiwatów wygłoszono i wypito. Przy drugim koncercie ubrano mu całe krzesło i pulpit w kwiaty, a przy trzecim ustawiono na estradzie ogromną urnę, na któréj jego cyfra z kwiatów ułożona jaśniała; wreszcie zasypano go wieńcami i bukietami. Osobliwie damy wzięły go w wyłączną prawie opiekę. Oprócz téj przyjemności przyniosły mu dwa piérwsze koncerty do 30.000 zł. pol. Za co wszystko wywdzięczając się, zapowiedział Liszt dwa koncerta dla ubogich.

Stenografowie paryzcy w izbie deputowanych, w izbie parów, w trybunałach sprawiedliwości, przy każdym ważnym procesie i t. d, mają, jak wiadomo, swoje osobne miejsca, gdzie niczém nie przeszkodzeni, obowiązku swego dopełniać mogą. Każdy większy dziennik utrzymuje stenografów w izbie deputowanych; *»Moniteur«* zatrudnia 17 skoropisów, to jest dziewięciu tak zwanych *rouleurs*, cztérech »rewizorów«, a cztérech *secrétaires-lecteurs*. Skoro posiedzenie się rozpocznie, stenografuje jeden z dziewięciu *rouleurs* przez dwie minuty, a potém, zastąpiony przez drugiego, układa swoję stenografiję zwyczajném pismem. Na to ma on 16 minut czasu; po których upłynieniu stenografuje znowu przez 2 minuty, i tak aż do końca posiedzenia. »Rewizorowie« stenografują zawsze przez 15 minut, i odmieniają się wzajemnie, lecz nie potrzebują stenografij swoich zwyczajnémi głoskami przepisywać. Każdy z nich każe sobie przez jednego z *secrétaires-lecteurs* odczytać sporządzoną spółcześnie stenografiję *rouleur'ów*, i uzupełnia lub poprawia zdarzające się mylki lub opuszczenia. W ten sam sposób urządzona jest także służba stenograficzna przy dziennikach angielskich. Stenograf przy większych dziennikach, jak np. *Moniteur* lub *Journal des Débats*, pobiera zazwyczaj 500 franków na miesiąc. Można sobie tedy wystawić, jakie ofiary administracyja każdego znakomitszego dziennika ponosić musi, aby rozprawy izb w zupełności ogłaszać mogła.

Imiono »Osieł« nic uchodzi wszędzie za oznakę wzgardy i połajania. Sławny uczony niemiecki Hammer-Purgstall opowiada w swojém najnowszém dziele: Kto tylko z oryjentalną historyją i poezyją jest obeznanym, może sobie zwyczajne wzgardliwe przezwisko »Osieł«, byle z dodatkiem »dziki«, poczytać owszem za miano honorowe. Pominąwszy bowiem szeroką przez Erazma z Rotterdamu osłowi poświęconą pochwałę; pominąwszy sławne Homeryczne przyrównanie bohatera Ajaksa do osła, wyganianego przez chłopców ze zboża; pominąwszy ustępy księgi Job gdzie dziki osioł jako symbol nieukróconéj swobody na puszczy jest sławiony; tedy u dawnych Persów był dziki osieł godłem siły królewskiéj i męztwa niezłomnego, a najwaleczniejszy władzca dynastyi Sasanidów, Behram, otrzymał w historyi i poezyi pochlebny przydomek Behram-gur, to jest »dziki osieł.« Wreszcie nazywał się ostatni władzca dynastyi Beni Omeje, *el Himar*, to jest Osieł, co jednak nie było ani czci ani wzgardy wyrazem, lecz miało znaczyć stoletni przeciąg czasu między piérwszym a ostatnim władzcą pomienionéj dynastyi, ile że słowo »osieł« oznacza po arabsku oraz stólecie.

Frydryk Soulié, jeden z najpłodniejszych francuzkich romansopisarzy feljetonowych obecnéj chwili, może poniekąd za przewodnika nowszéj literatury francuzkiéj być uważanym, ile że on piérwszy do opisywania ciemnych stron życia paryzkiego się rzucił, i »okropną szkołę« założył. Wszakże był on też piérwszym z bohaterów téj szkoły, którego publiczność po niezbyt długiéj wziętości zaniedbywać zaczęła, i prawie już zapomniała, w odstraszający przykład dla pp. Sue, Dumas, i reszty, równie już na rwistych falach popularności w toń zapomnienia pędzących. Przytém życie pana Soulié aż do czasu jego piérwszego wystąpienia w świecie literackim jest tak romantyczném, iż mogłoby wybornie za przedmiot do powieści posłużyć, gdyby który z jego kolegów chciał je opisać. Najprzód był Fr. Soulié adwokatem, a chociaż żadnego procesu nie wygrał, przecież żadnego też nie przegrał, gdyż właściwie nie miał ani jednego. Piérwszą rzeczywiście przegraną sprawą była jego własna; porzucił adwokaturę, a nie mogąc pośrednio na publiczność podatku nakładać, postanowił czynić to bezpośrednio, to jest: przyjął obowiązek przy komorze celnéj, który jednakoż — niewiadomo dokładnie z jakich powodów — po niedługim czasie porzucił. Prawdopodobnie było to dziełem przymusu, i nie dobrowolnie też chwycił się odprawiony celnik — stolarki. Ze stolarza przeszedł pan Soulié późniéj na przedsiębiorcę małéj czytelni publicznéj, od czego do saméjże fabrykacyi książek, nie tak daleka droga. Jakoż wkrótce widzimy go autorem piérwszego romansu *»Les deux cadavres«*, który już swoim tytułem (Dwa trupy) zapowiadał jego niewątpliwe powołanie do romansu feljetonowego. Swojémi »Pamiętnikami szatana« dał on hasło całéj owéj literaturze szatańskiéj, którę późniéj koledzy jego tak tłumnie uprawiali. Również jako turysta stał on się wzorem dla innych, gdyż piérwszy z dziennikarzy paryzkich przedsięwziął wycieczkę nad Ren, i opisał tę rzékę i Niemców w najuszczypliwszy sposób.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Fraściszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.